

*Ks. Witold Machalski, po prawie siedmiu latach pracy w Ekwadorze (2007-2014), po przerwie spędzonej na pracy duszpasterskiej w diecezji, podjął dwuletnią posługę na Kubie (2016-2018). Niniejszy tekst jest wspomnieniem czasów kubańskich.*

Na Kubę przybyłem w listopadzie 2016 roku. Skierowano mnie do diecezji Ciego de Ávila, leżącej praktycznie w samym centrum wyspy. Na pierwszych kilka miesięcy dołączyłem do ks. Dariusza Chałupczyńskiego z diecezji częstochowskiej, który przybył tam na początku 2016 roku, a który pracował w Gaspár - niezależnej placówce, terytorialnie przynależącej do parafii katedralnej. Wspólnie odwiedzaliśmy wioski, spotykaliśmy się z ludźmi, wchodziliśmy w kubańską rzeczywistość. Ks. Darek nie miał wtedy samochodu, więc do wiosek podwoził nas parafianin na motorze, a gdy nie mógł, pozostawał jeszcze rower.

Spędziłem tam czas do lutego 2017 roku, by w marcu podjąć pracę w nowo utworzonej parafii pw. Nuestra Señora del Cobre w Pina. Biskup Mario utworzył wtedy trzy nowe parafie (także placówkę ks. Darka), bo do tego momentu od czasu powstania diecezji było ich tylko cztery, tak więc liczba prawie się podwoiła. Jest to w dużej mierze wynikiem przyjazdów misjonarzy na te tereny. Do 2016 roku w diecezji, która liczy sobie tylko dwadzieścia kilka lat, pracowało najwyżej 9 księży. W 2016 roku liczba kapłanów wzrosła do 14.

Jak wyglądała moja parafia?

Przed wybuchem rewolucji działali tam zarówno księża misjonarze, jak i siostry zakonne. Prowadzili oni w Pina szkołę katolicką. Po rewolucji wszyscy musieli wyjechać. Z ponad 800 księży pracujących na Kubie przed rewolucją, po rewolucji zostało około 200, z ponad 2000 sióstr zakonnych pozostała podobna liczba. W samej Pinie nie został nikt. Do Piny co niedzielę (i czasem też w czwartki) dojeżdżał ksiądz z parafii Morón. Był czas, że bardzo prężnie działali tam młodzi, a liczba wiernych w niedzielę dochodziła do 100 osób.

Gdy przyjechałem, na niedzielnej mszy św. gromadziło się 20 osób, a i to nie zawsze. Były to jednak osoby oddane i chcące pracować dla rozwoju parafii. Mieliśmy katechistkę dla dzieci (choć dzieci na katechezie było tylko troje), był też katechista dla dorosłych, którzy przygotowywali się do chrztu, I Komunii świętej i bierzmowania, była animator grupy osób w podeszłym wieku, było dwóch ministrantów i chór. Z czasem doszedł koordynator rodzin osób przebywających w więzieniu i grupa misyjna.

Ludzie są tam serdeczni, potrafią się dzielić (pewno nigdy nie zapomnę sytuacji, jak przynosili mi po dwie saszetki herbaty, bo akurat przez pierwszy rok mojego pobytu nie można było jej kupić, albo po 3-4 ziemniaki, bo były dostępne tylko w porze zbiorów przez miesiąc czy dwa, a oni czasem jeszcze gdzieś dostali). Zresztą sztućce (a konkretnie 1 łyżka, 1 widelec i 1 łyżeczka) miałem też pożyczone od sąsiadów, aż do czasu kiedy udałem się na urlop, podobnie jak lustro w łazience, które po miesiącu czy dwóch udało mi się w końcu kupić. Taka trochę Polska w czasach komunizmu, gdzie wielu rzeczy brakuje, za wieloma trzeba się nachodzić, chociaż w sklepach (trochę porównywalnych do naszych Pewexów) za CUC (drugą walutę) wiele można kupić, głównie z AGD. Tyle, że ceny są tam europejskie, a średnia wypłata w 2018 roku wynosi około 25 dolarów. Sklepy za CUP (pierwszą walutę - tę "tańszą") generalnie wiele nie oferują. Sól, cukier, ryż, zapałki (choć nie zawsze), olej, jajka (też nie zawsze), czasem jakiś sok, a raz udało mi się kupić ser topiony! Od czasu do czasu można było też dostać jakąś wędlinę i oczywiście rum.

Ale wróćmy do parafii. Przed świąteczną i niedzielą mszą świętą wprowadziliśmy różaniec. Niby nic, ale wielu po raz pierwszy odmawiało dziesiątek samemu publicznie. Czasem (i to było wręcz szokujące, a nie śmieszne) osoby mające około 70 lat mówiąc „Zdrowaś Mario”, trzymały kogoś za rękę. Ale to było na początku, bo po jakimś czasie już nie musiałem szukać "chętnych" do odmawiania różańca. Sami się dzielili i często byli zawiedzeni, gdy przyszli troszkę później i już dla nich brakło. Podobnie w każdy piątek

wprowadziliśmy koronkę do Miłosierdzia Bożego. Sam czasem się zastanawiam nad siłą tej modlitwy, bo w każdym miejscu, w którym pracowałem, modlitwa ta stawała się jedną z ulubionych. To publiczne odmawianie modlitw było również ważne z innego powodu. Gdy ktoś umierał, zabierano go do zakładu pogrzebowego, a nie do kościoła. Czasem, gdy był to członek rodziny lub ktoś, kto kiedyś chodził do kościoła, zapraszano mnie, ale zwykle nie było takiej praktyki. Jednak nawet jak mnie nie było, a rodzina nie zgłaszała sprzeciwu, to moi parafianie sami modlili się nad trumną.

W każdy czwartek odbywały się spotkania biblijne. Zaproszeni na nie byli wszyscy, ale z reguły nie przekraczaliśmy 10 osób. Po moim urlopie, kiedy mieliśmy już rzutnik, puszczałyśmy również filmy religijne lub nauki formacyjne, a nawet pod koniec pewne programy do ćwiczenia śpiewu dla chóru. Ważnym spotkaniem odbywającym się raz w miesiącu, było spotkanie organizowane dla osób w podeszłym wieku, niekoniecznie związanych z Kościołem. Animował je Walfredo, siedemdziesięcioletek, który nie dość, że pokonał chorobę, wstał z łóżka i zaczął normalnie chodzić (na co lekarze nie dawali wielkich szans), to zaczął się bardzo aktywnie angażować w życie parafii. Dla 40, a czasem i 50 osób przygotowywał spotkania, prelekcje, zabawy i śpiewy, a że sam był już „jedną nogą w grobie”, to doskonale ich rozumiał i miał wielką łatwość w dawaniu radości innym.

Podobne spotkania miały miejsce w drugim z kościołów, należącym do parafii w Ceballos. Tam wspólnota była jeszcze mniej liczna, ale równie zaangażowana. I co ciekawe, najwięcej energii miały osoby po 70 roku życia! Nie sposób nie wspomnieć tu o jadłodajni dla biednych, którą wspierał tamtejszy Caritas. W co drugą sobotę przygotowywano tam śniadanie i obiad, a w kolejną „mocne” śniadanie. I znowu, oprócz jednej trzydziestolatki pomagały tam osoby 70 plus.

Ważnym wydarzeniem w życiu parafii był odpust. Patronką Piny i całej Kuby jest Najświętsza Maryja Panna z Cobre. Odpust poprzedzała nowenna, która odbywała się w różnych punktach parafii (w domach parafian, którzy zapraszali sąsiadów, w pobliskich wioskach, przy kapliczkach). Zadziwiało, że choć na msze nowennowe przychodziło sporo osób - 50 i więcej, to po odpuście znikali aż do następnego roku. A sam odpust to msza i procesja ulicami miasta ze świecami. Niestety w pierwszym roku obowiązywał zakaz opuszczania domów z uwagi na to, że przez wyspę przechodził huragan "Irma", ale w kolejnym przybyło około 500 osób. Więc chrześcijanie tam są. Może często tylko świąteczni, może obojętni, ale są. I trzeba nam się modlić, by zrozumieli czym jest Kościół i do niego wrócili, ale to pewno praca jeszcze na lata.

Z modlitwą

*ks. Witek Machalski*